

„K” na deskach

Tylko w teatrze
można zrozumieć
politykę.

Hasło, iż „K” w poznańskim Teatrze Polskim jest „sztuką o Kaczyńskim”, niewątpliwie znakomicie sprzedaje bilety – jednakowoż nie polega na prawdzie. „K” jest o Kaczyńskim w tym sensie, w którym wszystko, co dziś w Polsce jest o polityce, jest o Kaczyńskim – ale w swoim przedstawieniu prezesa spektakl bliższy jest niesłusznym koncepcjom symetrii niż pryncypialnym postawom TVN 24.

W sztuce Pawła Demirskiego w reżyserii Moniki Strzępki pobrzmiewa oczywista, ale zaskakująco rzadko dziś wygłaszana prawda: że do zwycięstwa PiS i wszystkich płynących z niego nieszczęść doprowadził kształt Polski przedpisowskiej, za który odpowiadają głównie ci, którzy dziś są PiS-u największymi wrogami.

Co może uzasadniać, dlaczego ocena spektaklu – przynajmniej wśród osób, z którymi rozmawiałam – jest prostą funkcją oceny dzisiejszej rzeczywistości. Żarliwi obrońcy demokracji spod znaku Platformy i KOD głosili wyniośle, że „Szekspir to to nie jest”. Mniej zaangażowani krytycy PiS-u mówili ostrożnie: „Interesujące”.

A ja byłam zachwycona.
Pewnie dlatego, że

sceniczna diagnoza

źródeł obecnej choroby demokracji jest taka sama jak moja – i sięga równie głęboko. Spektakl to wehikuł czasu, który przemieszcza nas w przyszłość – w zasadzie dzieje się podczas nocy wyborczej w 2019 r. – ale także wędruje w czasy prehistoryczne, w których kształtowała się III RP. To czyni go cokolwiek hermetycznym – kto z tych, którzy nie byli czujnymi uczestnikami życia politycznego w ostatnich trzech dekadach, pamięta, co to były „jednostki nadwiślańskie”, które jeden z bohaterów chce stawiać w stan gotowości niczym Macierewicz podczas nocy teczek w 1992 r.? Kto rozumie głęboką ambiwalencję uczuć, jakie wzbudza hasło „Sztandar wyprowadzić!” – nawet jeśli potrafi wskazać źródło cytatu? Inaczej mówiąc, kto w dzisiejszej bipolarnej rzeczywistości PiS – antyPiS rozumie złożoność politycznych procesów lat 90.?

Obawiam się, że nieliczni. Co skądinąd jest przyczyną, dla której obecne analizy



sytuacji politycznej są w mojej opinii tak rozpaczliwie płytkie. Wybierając między dwiema obowiązującymi narracjami – „PiS wygrało wybory, bo przez ostatnich 8 lat Polki i Polacy byli lekceważeni przez rządy Platformy Obywatelskiej” versus „PiS przekupiło wyborców, obiecując im »500 plus« i szczując przeciwko uchodźcom” – nigdy nie dojdziemy do tego, co zrobić, żeby PiS wybory przegrało. Pomijając już intelektualną nędzę tego dyskursu.

Twórcy spektaklu

też zdają się tak myśleć – w każdym razie starannie obrzydzają nam obie strony. Postacie głównych antagonistów – „K.” i „Donalda” – różnią się manierami i stylem, ale w głębi prezentują ten sam postpolityczny cynizm, w którym walka o władzę oderwana jest od jakichkolwiek celów (żeby nie powiedzieć wartości), jakie ta władza miałaby realizować. Teza umiarkowanie oryginalna, choć niewątpliwie niemiła obu zaangażowanym stronom dzisiejszego politycznego sporu. Ale obrzydliwość dwóch głównych graczy – i groteskowość „trzeciej siły”, zwanej Partią Clownów i stanowiącej coś na kształt krzyżówki Kukiza z Palikotem – ma ten walor, że skłania do patrzenia na coś innego.

Patrzyłam na „Ducha Unii Wolności”. Jego pojawienie się na scenie szczególnie mnie uradowało, bo czułam się całkiem osamotniona w mojej ciągle żywej niechęci do tej dawno zmarłej formacji. Duch – a raczej zombie, niewiasta w chanelowskiej garsonce, z klasyczną dla elit lat 90. fryzurą typu hełmofon i wyraźnymi śladami rozkładu, pęta się nerwowo po dekoracjach, poszukując „sztabu wyborczego Unii Wolności” i stawiając pytania w rodzaju: „Pani by nie chciała wrócić do czasów, w których rozumieliśmy, co

robimy?”. Otóż – zdają się sugerować Strzępka z Demirskim – ta komfortowa pewność siebie formacji, która w latach 90. kształtowała polską politykę i gospodarkę, leży u źródeł dzisiejszych nieszczęść. Jeśli tak, to absolutnie się z nimi zgadzam.

Do dziś z rozbawieniem, ale jednak przez łzy wspominam wypowiedź Bronisława Geremka, który w 2000 r., obejmując stanowisko przewodniczącego UW, ogłosił: „Nawet bezrobotni z małych miasteczek wyrażali się o Unii Wolności z szacunkiem, ale jednocześnie dodawali: Ta partia nas nie rozumie. Teraz to się zmieni”. Co dowodziło po pierwsze, że wielki autorytet polskiej inteligencji w życiu nie widział na oczy bezrobotnego z małego miasteczka; najbardziej nacechowanym szacunkiem wyrażeniem, z jakim w tych środowiskach spotykała się UW, był przymiotnik „parchate”. Po drugie zaś, że żadna klęska – Geremek objął stanowisko po tym jak UW wyleciała z koalicji, nie wystawiła kandydata w wyborach prezydenckich i spadła poniżej 5 proc. w sondażach – nie nauczy tej partii realizmu.

Autorzy spektaklu zdają się uważać, że dzisiejsza opozycja cierpi na tę samą chorobę. Geremkowskiego „bezrobotnego z małego miasteczka” zastąpiła wprawdzie „Powiatowa”, która

wpada na scenę

z tasakiem, za pomocą którego chce wyrazić swój stosunek do klasy politycznej – ale diagnoza dotycząca braku relacji zwrotnej między ludem i jego wybraniami pozostaje ta sama.

Można się zastanawiać, czy jest to diagnoza zupełnie trafna w stosunku do PiS, które akurat nastroje powiatów zdaje się wyczuwać całkiem nieźle – ale pamiętajmy, że akcja spektaklu odbywa się w przyszłości, za 2 lata. Do tego czasu, sugerują autorzy, obecna władza wyalienuje się nie mniej niż opozycja. Proces już się zaczął, tylko jeszcze go nie widać na zewnątrz. Wtedy – przestrzega sztuka Strzępki i Demirskiego – władza może wpaść w ręce jeszcze bardziej niebezpieczne: umazanego we krwi po pas „Jastrzębia Prezesów”. Zniecierpliwionego indolencją dotychczasowych liderów „działacza młodego pokolenia” – tysego naziola z prostymi receptami i gotowością do ich egzekwowania.

To ponura przestroga. Ponury jest także kompletny brak lewicy – której zupełne nieistnienie na scenie dokładnie oddaje rzeczywistość. Ale może właśnie w ten sposób autorzy – których cała diagnoza jest w istocie rzeczy immanentnie lewicowa – sugerują ludziom z lewej, żeby się wzięli za siebie, bo będzie, kurwa, źle?

Bo będzie.